WYBÓR POEZYI POLSKICH

USKUTECZNIONY

DLA

CZYTELNI PARAFIALNYCH.

PRZEZ

Ks. B. Nitschke.
Wikaryusza Archikatedralnego w Poznaniu.



GRODZISK.
Czcionkami A. Schmaedicke.
1864.

WYBÓR
POEZYI POLSKICH

USKUTECZNIONY

DLA

CZYTELNI PARAFIALNYCH.

PRZEZ

Ks. B. Nitschke.

Wikaryusza Archikatedralnego w Poznaniu.



GRODZISK.

Czcionkami A. Schmaedicke.

1864.

PRZEDMOWA.

Kto jakośkolwiek jest obeznany ze sprawą czytelni parafialnych, wie jak wielki jest brak dziełek, któreby wręczyć można czytelnikom klas średnich i niższych, a których po parafiach zwykle bywa najwięcéj. Brak ten okazuje się tem większy, gdy wypadnie z liczby dziełek odpowiednich wprawdzie do czytelni parafialnych dla budującéj i zajmującéj treści znaczną część wykluczyć dla formy, albo całkiem nieodpowiedniéj, albo też wykraczającéj przeciw elementarnym zasadom gramatyki, lub pisowni polskiéj.

Najwięcéj jednakże czuć się daje brak dziełek z zakresu poezyi. Większe bowiem tego rodzaju utwory dla górnéj, pomienionym czytelnikom mniéj przystę-

pnéj treści, mało, albo wcale do czytelni parafialnéj stósownemi nie są. A przecież pozbawiać ich pożytku i przyjemności czytania także dzieł poezyi żadną miarą nie można.

Téj potrzebie chcąc zaradzić, uskuteczniłem wybór utworów poetycznych, które i dla jasnéj treści i dla płynnego wiersza zdawały mi się być najprzystępniejsze dla początkujących czytelników. Może ułatwienie i uprzyjemnienie im czytania poezyi będzie dla nich zachętą do szukania także przyjemności w czytaniu utworów obszerniejszych tego rodzaju i sięgających wyższego zakresu.

Z téj przyczyny ograniczyłem mój wybór na nie zbyt wielką liczbę i podzieliłem go nie podług reguł teoryi poezyi, ale zestawiłem go tak, iż poczynając od utworów krótszych i przechodząc do obszerniejszych, dawałem pierwszeństwo tym, które mi się zdawały najpowabniejsze i najbardziéj zajmujące. Przedewszystkiem zaś

chodziło mi oto, aby treść poezyi w niniejszym wyborze zawartych była budującą, dla tego też widziałem się zniewolonym w poemacie *„Zachwycenie“* wypuścić ustęp o Judaszu i o dzieciach niechrzconych nie zgodne z nauką Kościoła Śgo., w balladzie zaś „Powrót taty“ zamienić wiersz „Najświętsza Matko zmiłuj się“ na „Najśw. Matko módl się za nami.“ —

Czy wybór niniejszy cel swój osięgnie, pokaże niewątpliwie doświadczenie, najpewniejsza nasza nauczycielka.

Wydawca.

Ballada, jakich wiele.

I. N. I.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nie znany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.
I pyta nieśmiele:
„Mój dziadku! w tem siele
„Któż ziemskie opuścił mieszkanie?“
„Smutne to są sprawy;
„Jeżeliś ciekawy,
„Posłuchaj, opowiem mój panie.
„Przed kilku latami
„Żył we wsi téj z nami
„Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy;
„Ni soli, ni chleba,
„Nie było tam trzeba,

„Był czczony, kochany, szczęśliwy.
„I było ich troje:
„On z żoną we dwoje,
„A synek jedynak był trzeci;
„Wesoły, rumiany,
„Przystojnie odziany,
„Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.
„Raz ojciec z wieczora
„Powraca ze dwora,
„I wzdycha i mówi do żony:
„Mój Boże! mój Boże!
„Jak też to przy dworze
„Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.
„Prostaczek w tym tłumie,
„Gdzie każdy coś umie,
„Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;
„I nam Bóg dał dziecię,
„Czemużby też przecie
„I ono nie było człowiekiem.
„Przedajmy dwa woły,
„Niech idzie do szkoły,
„A kto wie, co się z nim stanie;
„Może się przy dworze
„Umieści, a może ....
„A może i — księdzem zostanie.“
„Jak rzekli, zrobili,

,,Lecz grubo zbłądzili,
,,Bo szczęście i w kmiecym jest stanie;
,,Dobra jest nauka,
,,Ale kto jéj szuka
,,Nie z pychy — wszak prawda mój panie!
,,Co rok więc na szkoły,
,,Z ojcowskiéj stodoły
,,Szło zboże, z obory dobytek;
,,Syn wzrastał w rozumie,
,,Lecz za to i w dumie,
,,Na smutny rodzicom pożytek.
,,I przeszło lat wiele,
,,A nikt go w tem siele
,,Nie widział w zagrodzie rodzica;
,,A z cicha mówiono,
,,Że w mieście tam pono
,,Waszmości udaje szlachcica;
,,Że w głowie ma państwo,
,,Nie święte kapłaństwo,
,,Że ojca wstydzi się w sukmanie;
,,A Bóg się tym brzydzi,
,,Kto ojca się wstydzi;
,,Nieprawda? cóż wam to mój panie?
,,Tym czasem oknami,
,,Jak mówią i drzwiami
,,Bieda się do niskiéj pcha strzechy;

„Ucieka dostatek,
„Przyrasta zaś latek,
„A znikąd pomocy, pociechy.
„Starcowi i niwa,
„W młodości życzliwa,
„Kąkole wydaje i głogi;
„Więc nieraz w potrzebie
„Na syna, na siebie
„Zapłakał ów człowiek ubogi.
„Aż pracą znużony,
„Aż troską strawiony,
„Raz upadł przy pługu na łanie;
„I zasnął na wieki,
„A nikt mu powieki
„Niezamknął: płaczecie mój panie?
„O! powieść nie cała:
„Wszak matka została,
„A matka biedniejsza na świecie;
„Bieda jest każdemu
„Człowiekowi samemu,
„Lecz stokroć samotnéj kobiecie.
„Więc pismem kazała,
„Ze łzami błagała:
„Mój synu! rzuć świetne marzenie;
„Uczcij mą siwiznę,
„Weź ojców puściznę,

„A znajdziesz spokojność i mienie."
„Ba — panie kochany!
„Groch rzucaj na ściany:
„Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi,
„I rękę przy drodze
„Wyciągnąć niebodze
„Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.
„Aż dzisiaj ją rano
„Nieżywą zdybano
„W swéj lubéj zagrodzie przy ścianie;
„Przez litość w téj chwili
„Jéj my to dzwonili:
„Co wam jest, dla Boga! mój panie?"
A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
„Jam jest ten zabójca
„I matki i ojca
„I szczęścia mojego — na wieki.
„Roiłem, marzyłem,
„Czcze mary goniłem,
„Wiatr rozwiał sny złota przede mną;
„Dziś zdrowy, zbudzony
„Przychodzę w te strony;
„Miéj litość, miéj litość nademną.
„O! dzisiaj, w tem siele,

„Ja chleb mój w popiele
„Zwalany łzy memi obmyję;
„I jeść go zasiędę,
„I szemrać nie będę,
„Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!“
I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi
Zalał się, w okropnym był stanie;
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc, na stronie
Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!“

Brzoza Gryżyńska.

Franc. Morawskiego.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiéj ziemi
Kościół Świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.
Mnóstwo tam grobów i mogił do koła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoję obudzi;
Skąd polubiła ten pobyt żałośny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie, lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.
Cicho, cichutko w swéj mogiłce leżał.
Antoś, matczyna nadzieja,
Kiedy w tem kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył Dobrodzieja:
„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
„Próżno człek strzeże i czuwa;
„Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
„Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“
Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska.
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.
Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnéj klęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.
Budzi się rączka tajemniczéj siły,

Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonéj wyrasta mogiły,
Bieluchna jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną do koła,
Tak się odzywa do matki:
„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
„Ja ludzką myślą nie schwycę;
„Saméj to tylko wiadomem jest tobie,
„A więc wyjaw tajemnicę.“
Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy;
Gdy w tem strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłómaczy:
„Kara to mojéj matczynéj ślepoty,
„Bóg mi złem za złe odmierzył:
„Synek ten memi popsuty pieszczoty
„Raz mię w swem gniewie uderzył.“
„Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna,“
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiéj on się tu kary dopomina,
„Aby wieczystéj uniknął.“
„Uderz!“ zawoła — i silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona

Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnéj kary dokona......
I patrz! zaledwie różczką puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.
I wszystkie serca zimny przestrach sciska,
Śmiertelnym drzeszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszéj zaraz wiosnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz więc wyżéj i wzmaga i rośnie,
Wrozległe drzewo zamienia.

Runął kościołek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, walą całe lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie;
I coraz daléj i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiéj brzozie.

Krówka Jaremy.

Ks. J. Hołowinskiego.

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięła go swawola
Podpędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.

Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi, że płacze na drodze niewiasta;
Tknięty litością, pyta o przyczynę. —
Ach, zwierz mi, rzekła, zjadł krówkę jedynę,
Gdy się zbłąkała w lesie nocną porą.
I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
A teraz głodem biedna z dziećmi zginę. —
— Jakiéjże maści była twoja krowa? —
— Z łysiną białą, sama całkiem płowa. —
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwalił,
Zamilkł westchnąwszy i opuścił wdowę.

Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiéj puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiéj twarzy
Ponachylanych w około ogniska,
Na którém w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem i drogą
Przystąpił do nich w pokornéj postawie,
Prosząc, by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
A zaproszony, wziął udział w ich strawie,
A potem z trudu usnął na murawie.

Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchłą swą drużynę nocną,
A siebie w pośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno.
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawłuka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry:
Bito, męczono, brano na turtury,
Jego niewinność uporem ochrzcona.
Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! — wołał w swéj niedoli,
Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnemi tak przemówił słowy:
— Za co obwiniasz o niesłuszność nieba,
Czy zapomniałeś krówkę biednéj wdowy?
Wiedz, że łzy cudze krwią odkapać trzeba;
Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
Jużeś dość cierpiał za krzywdę zdziałaną,
Wrócisz swobodny do dzieci i żony. —

Jakoż w tym czasie zbójców pochwytano,
A ich zeznaniem został uwolniony.

I my w nieszczęściach choć bez naszéj winy,
Nim się uskarzać na Boga poczniemy,
Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
A znajdziem pewno tam Krówkę Jaremy.

Powrót taty.

Ballada A. Mickiewicza.

—

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.
Tato nie wraca, ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze.
Słysząc to dziatki biegną wszystkie razem,
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem w imie Ojca,
 Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca
 Teraz i czasu wszelkiego.
Potem Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierze,
 Dziesięcioro i Koronki,
A kiedy całe zmówiły pacierze,
 Wyjmą książeczkę z kieszonki.
I Litanią do najświętszéj Matki
 Starszy brat śpiewa; a z bratem,
Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
 Módl się, ach módl się za tatem!
W tém słychać turkot, wozy jadą drogą,
 I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
 Tato, ach tato nasz jedzie!
Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
 Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie? co się u was dzieje?
 „Czyście tęskniły do tata?
„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
 „A ot rozynki w koszyku;“ —
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
 Pełno radości i krzyku.
Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
 Ja z dziećmi pójdę ku miastu.

Idzie.... aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.
„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
„Tylko puszczajcie nas zdrowo,
„Nie róbcie małych sierotami dziatek,
„I młodéj małżonki wdową.“
Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
Pieniędzy krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

W tém, stójcie, stójcie, krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.
Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,

Gdyby nie dziatek pacierze.
Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.
Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty
A potém litość i trwoga.
Słucham, — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach ja mam żonę! i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.
Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórek.“

Święty Izydór.

Franciszka Morawskiego.

—

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnéj Góry,
I rozłożył towar święty.
Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojéj wierze
Za poczciwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:

„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnéj tam pamięci
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.
Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,

W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.
Takim, jak wy, był on chłopkiem,
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.
Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.
Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziéj go bolały,
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.
Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu órkę zadał;
A w przypadku nie spełnienia,
Straszną karę zapowiadał.
Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprząǵł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytém,

I tak zawiódł je na niwę.
A że w każdéj trudnéj porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze,
I gorąco błagał, prosił. —
Głowę w świętéj chylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.
I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.
Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swéj niedoli;
Gdy w tém w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność! woń po roli!
Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.
Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.
Idą z okiem tak wesołém,

Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.
Gdy w tém anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.
Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samém miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niém mnóstwo zlało ludu.
Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora,
Wszystkich bogactw, wołów ślicznych.
Król po królu w wielkiém mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa. —

Chleb.

Adama Gorczyńskiego.

(Wedle podania Oliwskiego Klasztoru.)

Kaźmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męzki,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.
Bo ziemia latem zwędzona parném
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.
Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.
Wtenczas król chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.
Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam on posyłał pieniądze.
Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,

Czołem się w wodach Baltyku myła,
Stopę oparłszy o Szląsko.
A tak powszechny był niedostatek
I wszędzie równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnéj nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.
I choć zamożny z łońskiego [1]) zbioru
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku, stara niewiasta,
Z przydrożnéj wybiegła chaty.
I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztora
Chleba bochenek pod szatą.
Podziel się chlebem, posil niebogę,

---

[1]) Z przeszłorocznego.

Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.“
„Babo!“ rzekł panek, „pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze;“
I znów litością niby przejęty,
Dodał: „Zawiodłaś się srodze:
Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty,
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle méj chatki.“
Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! w kamienie Ty zamień.“
Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega
Na twardy kamień, bo stężał.
Otruchlał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;

I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Chleb Rajski.

Ks. J. Hołowinskiego.

Błażéj w dni swoich zaraniu,
Widząc marność tego świata,
Żył na puszczy pędząc lata
W modłach, poście i czuwaniu.
W nocy krótkie miał spocznienie
Lecz łzy modlitwy przelewał;
A w dzień święte psalmy śpiewał,
Pracując na wyżywienie.
I tak przeżył lat nie mało,
I nie słabło w trudach ciało,
Myśl jego cicha wesoła,
W ciele wiódł życie Anioła.
Bóg, widząc cnotliwe życie,
Zdrój łaski na niego zlewa:
Bo nieraz w świętym zachwycie
Niebieskie widzenie miewa.
Czart się lęka jego mocy:
Jak przed ogniem topnie smoła,
Tak ćma strasznéj piekieł mocy
Przed nim ostać się nie zdoła.

A we święto wielkanocy,
Kiedy przyszedł do kościoła,
Same się drzwi otworzyły,
I dzwony same dzwoniły.

Boże! raz wyrzekł w zapale,
Niech bez przerwy ciebie chwalę,
A twoja opatrzność święta,
Co małe karmi kurczęta,
Niechaj i o moim głodzie
W owém miłosierdziu pamięta,
Bym nie pracował w ogrodzie,
I nie uprawiał już ziemi,
Lecz prac doczesnych daleki
Niech wzlecę myśli świętemi
Nad wszelką ziemskość na wieki.
Przez doskonałe żądanie
Niech obejmę ciebie, panie!
Niech czekam wśród uściśnienia,
Wśród błogości rajskich duszy,
Pokąd twa ręka nie skruszy
Przykrego w ciele więzienia.

A prośba tak pełna wiary
Wnet została wysłuchana:
Niewidzialnie wśród pieczary
Kładziono chleb mu co rana.

Za ten dar opatrznéj ręki
Jak najżywsze składał dzięki,
I zrazu w boskim zachwycie
Całe pogrążył swe życie.
A w tém, gdy się modlić zacznie,
Tęsknota serce zalega,
Lecz tak pomału, nieznacznie,
Że jéj nawet nie postrzega.
Potém lenistwo nadbiega,
Tak, że już i sam poznaje,
Bo i późniéj ze snu wstaje,
I w modłach nie taka skrucha
Nie takie zebranie ducha,
I myśl nie tak często w niebie;
Lecz tém uspakaja siebie,
Że dać trzeba spocząć ciału.
A tak po mału, po mału,
Nie już niepewna tęsknota,
Lecz nim burza myśli miota.
Gdy trwa niepokoju szarga,
Coś złego przychodzić pocznie,
I już wzmaga się widocznie,
Częściéj, dłużéj myślą targa.

Na ten stan zdjęła go trwoga,
Modlił się we łzach do Boga.
Chcąc pożywać święte dary,

Wszedł wieczorem do pieczary,
Zastał rajski chleb szczerniały,
Choć był pierwéj jak śnieg biały.
A kiedy przyszła noc cicha,
Wyraźnie w sercu zawisły
Jakieś nieczyste pomysły,
Ale je łatwo odpycha.
Nazajutrz już nie pomału
Musi opierać się ciału,
Ale często w zapomnieniu
Popuszcza cugle myśleniu.
A gdy po téj dziennéj bitwie,
Po roztargnionéj modlitwie,
Wieczorem do groty wchodzi,
Wprawdzie chleb od Boga dany
Na zwykłem miejscu znachodzi,
Lecz na pół z plewą zmięszany.
W noc i dzień następny nęci
Zła chęć i ustąpił chęci.
A w grzechu upodobanie
Wnet urodziło żądanie.
Przyszły wieczorne godziny;
Gdy chce posilić swe ciało,
Chleba rajskiego nie stało,
Tylko drobne okruszyny.
Westchnął i zalał się łzami:

Widzę, rzekł, nieszczęście moje,
Chleb wzięto, bo grzech mię plami,
Może snem troskę ukoję.
Zasnął, ale myśli oko
Obłok wszeteczny zacienia;
I we śnie brudne marzenia
Z pustyni na świat go wloką.
Rano serce miał zmienione,
Rzucił niegdyś lubą stronę,
Kędy przebył w życia wiośnie
Tak szczęśliwie, tak radośnie,
Gdzie go Bóg łaską wzbogacił,
A teraz podeszły w lata
Te skarby duszy ustracił.
I spieszył — używać świata.

Lecz Bóg, co śmierci grzesznika
Nie chce, a żąda poprawy,
Nie opuścił pustelnika
Ze względu na dawne sprawy.
Bo zaledwie wyszedł z rana,
Spotkał znanego młodziana,
Który mu do nóg upada:
Ojcze, rzekł, niech twoja rada
Wyrwie mnie z ciężkiego trudu,
Albo mocą twego cudu

Zagaś ogień, który płonie
Nieczystością w mojém łonie.
Pustelnik podniósł młodziana,
Mówiąc, że nie inną bitwą
Zwycięży chuci szatana,
Tylko pracą i modlitwą.
Potem długo się rozwodził
Na pożytek jego duszy;
A gdy młodzieniec odchodził,
Bóg serce Błażeja skruszy:
Jakto, rzekł, czyż tylko mogę
Pokazywać innym drogę?
A sam opuszczam zbawienie
I dążę na zatracenie.

Pędem do jaskini wrócił,
Tam się na twarz we łzach rzucił,
I dzień płakał i noc całą,
A w tém zasnął kiedy dniało.
We śnie Anioł tak mu rzecze:
„Widzisz ułomny człowiecze,
Że pracą gardzić nie trzeba:
W pokorze jest doskonałość,
A największe dary nieba
Niweczy zarozumiałość.
Gdy w pracy pogrążysz ciało,

Duch niem władać snadniéj może.
Bądź spokojny, bo zmazało
Grzech twój miłosierdzie Boże.“

Kopiąc ziemię, sadząc drzewa,
Znów szczęśliwy psalmy śpiewa.
Choć go Bóg łaską wzbogaca,
Choć moc cudów jemu wraca,
Jednak już nie prosił nieba,
By miał pokarm od anioła,
Lecz do śmierci w pocie czoła
Pracował na kawał chleba.

Dwa szczury i małpa.

Raz za piecem, blizko dziury
Była zwada
I nie lada.
Skarb znalazły gdzieś dwa szczury.
Skarb arcyznaczny
Ser bardzo smaczny.
Kiedy przyszło do podziału
Spór się zaczął nader żywy,
Bo nie tylko człowiek chciwy,

Z kłótni w krótce do zapału;
A w zapale tego sporu,
Któryś tam dotknął honoru,
I daléj do pojedynku.

A w tem na blizkim kominku
Siedząca małpa domowa
Odezwała się w te słowa

Ej moście panowie szczury!
Żadenże z was nie słucha
Praw narodów, praw natury,
By dla śmiechu złego ducha
Brat na bratnią krew nastawał?
O cóż? o ten sera kawał?
Czyż go podzielić nie można?
Ach! podziel więc, rzekły oba
O! małpo! jaśnie wielmożna! —

Ta, jakby ważna osoba,
Idzie wspaniale,
Przynosi szale,
Ser na pół łamie,
Szczury się dziwią;
I nie przeciwią
Poważnéj damie.

W tem jedna szala na dół opada.
Z nadętą miną małpa kosmata
Bierze większą część sera i trochę go zjada
Waży: aż szala w górę podlata,
Więc dla zrównania i z drugą połową
Toż samo robi i waży na nowo.
Lecz trudno trafić; znów szale się krzywią;
Małpa znów równa, a szczury się dziwią:
Sędzia ser zjada i prawa tłómaczy.

Gwałtu! krzyknęły szczury niespodzianie,
Wszak z tego podziału nic nam nie zostanie.

Cicho! zawoła małpa, cicho! cóż to znaczy?
Takaż to wasza wdzięczność! Niewiecież zuchwali,
Jak się karzą rozruchy na sądowéj sali? —
To rzekła i ostatnią zjadła cząstkę sera,
A nieboraki z niczem wróciły do dziury,

Ej! bracia, kto się z sprawą do sądu zabiera,
Niechaj sobie przypomni, jak wygrały szczury.

Jałmużna.

—

Maj to był właśnie: ledwie jutrzenka
Rozlała blaski i wonie

Gdy pewna piękna, jeszcze maleńka,
Biegła dziewczynka przez błonie.
Nie dając spocząć strudzonéj nodze,
Przebyła większą część drogi,
Aż, gdzie drewniany krzyż stał przy drodze,
Pod krzyżem siedział ubogi.
„Pan Jezus z tobą, miła dziewczynko!
Dokąd to sama, o świcie?
Ze łzami w oczach, z żałosną minką,
Co tobie? powiedz me dziecię.“ —
Na taki widok, na głos staruszka,
Dziewczynka nagle się wstrzyma,
A łzy otarłszy końcem fartuszka,
Mierzy go długo oczyma.
„Co ci dziewczynko, czego tak stoisz?
Rzekł starzec, ukój łzy twoje;
Czy czego pragniesz? czy się mnie boisz?“ —
— „Ja się ubogich nie boję,
Bo oni biedni, kochać ich trzeba,
Często słyszałam od matki;
Zawsze im sama wynoszę chleba,
Gdy który przyjdzie do chatki.
Ale mój dziatku, matka mi chora,
Chce mnie, jak mówi, porzucić;
Nie spała, ani jadła od wczora,
Ach! jakże nie mam się smucić!

Całą noc cierpiąc żal nieustanny,
Klęcząc, prosiłam ze łzami
Pana Jezusa, Najświętszéj Panny,
By mieli litość nad nami.
I ty staruszku módl się do Boga,
Proś go o zdrowie méj matki,
A przyjm to: choć ja sama uboga,
Choć to me wszystkie dostatki.
Chciałam dziś za to kawałek chleba
Kupić dla siebie; lecz lepiéj
Tobie to oddam, proś tylko nieba,
Niech moję mamę pokrzepi.“ —
— „Tak jest, pokrzepić! będę go prosić,
Nie próżna twoja otucha;
Przestań dziewczynko ócz łzami rosić,
Bóg szczeréj prośby wysłucha.
Bo kto biednemu poda jałmużny,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu, rzekł Chrystus, niebo jest dłużne,
I Bóg go chojnie nagrodzi.“ —
Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka
Blask nagły błysnął do koła,
Z plecy szat grubych spadła powłoka,
Starzec się zmienił w Anioła.
Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,
Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą,

Do kolan długi strój śnieżnéj bieli
Jasną przepasan był tęczą.
Pogoda wiosny śmiała sią z czoła,
Róża kwitnęła we tchnieniu,
Gdy mgłą przejrzystą oblan do koła,
Wzlatał ku nieba sklepieniu.
A gdy dziewczynka nagłem widzeniem
W dłoni strwożony wzrok chowa:
Z tkliwym uśmiechem, z wdzięcznem spojrzeniem
Te jeszcze do niéj rzekł słowa:
— „Nie płacz dziewczynko, powróć do chatki,
Bóg twoję żałość obaczył,
I drogie zdrowie wrócił dla matki,
I dla cię szczęście przeznaczył.
Bo kto biednemu poda jałmużnę.
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu i niebo zapłatę dłużne,
I Bóg go chojnie nagrodzi.“ —
To rzekł, i coraz, i coraz chyżéj,
Wznosi się we mgle obłoka,
I coraz wyżéj, i coraz wyżéj,
Aż całkiem zniknął z przed oka.
Długo dziewczynka drząca i zbladła,
Jak wryta na miejscu stała,
Przez nadzwyczajne zlękła widziadła,
Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o! co za radość,
O! co za szczęście tam było?
Stało się wszystkim życzeniom zadość,
Matce jéj zdrowie wróciło.

Konik polny i mrówka.

Konik polny, co swój cały,
Wpośród lata czas prześpiewał;
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby téż odrobina jaka
Z muchy, lub robaka,
Nic zgoła!
A więc idzie, płacze, woła,
U skrzętnéj mrówki kołace:
Pożycz, jéj, pożycz, powiada,
Kilka ziarek dla sąsiada:
Jakem konik, tak zapłacę,
By tylko Sierpień zawitał,
Prowizyą i kapitał. —
Mrówka na to: opatrz Boże!
Że nikomu nie pożyczam,

Do wad to moich policzam,
Nawet i najlżejszych może.
Ale już mnie nie poprawisz,
Raczéj odpowiedz mi na to;
Cożeś robił całe lato,
Że się dziś żebranką bawisz? —
Tak w dziennéj, jak w nocnéj dobie,
Wciąż śpiewałem bez ustanku —
Śpiewałeś! dobrze, kochanku!
Teraz skakaj sobie. —

Buława Madeja.

Ks. J. Hołowińskiego.

Biedny kapucyn szedł po posłuszeństwie
Do odległego swojego klasztoru;
Był zatopiony cały w nabożeństwie,
Bo się zbliżyła godzina wieczoru.
Krzyż miał na piersiach, różaniec za pasem,
A szedł powoli wielkim, głuchym lasem.
Gdy tak w modlitwie myśl do Boga niesie,
Opuścił drogę i zabłądził w lesie;
Długo się bije wśród lasu gęstwiny,

Ale nie znalazł ścieżki, lub drożyny.
A w tem się ludzka jawi mu postawa,
Włos czarny w kudłach, jak noc, twarz zacienia,
Wzrostu wielkiego, a w ręku buława,
I mordem tchnące posyła wéjrzenia.
Rzekł mu spokojnie zakonnik ubogi:
„Bracie, nie możesz pokazać mi drogi?“
— „Dalekoś zabrnął, już teraz i ciemno,
Przeto dziś u mnie chciéj przyjąć gospodę:
Ubogą strawą posilisz się ze mną,
A jutro świtem na drogę zawiodę.“ —
Poszli i przyszli w jakiś jar głęboki,
Strumyczek jęczał tam na samym spodzie,
Pod górą grota kuta wśród opoki,
Drzewa i krzaki kryły ją przy wchodzie.

Gospodarz ogień zapala w jaskini,
Przygotowanie do wieczerzy czyni.
I milczą oba, lecz mąż świątobliwy
Wpadł nagle w trwogę i wielkie zdumienie;
Włos mu na głowie powstał jakby żywy,
Znać, że ma straszne jakieś objawienie.

— „Cóż to ci ojcze?“ Gospodarz zapyta.

— „Patrz, przepaść piekła przed nami odkryta:
Patrz na katusze! — Słuchaj co za jęki!

Patrz, potępieniec nie chce Lucypera
Słuchać, lecz darmo jemu się opiera; —
Już mu zadają niesłychane męki,
Chłoszczą żelaznym i ognistym biczem;
— Palą go — Warzą — Lecz nie zgięty niczem.—
— Słuchaj, nieść każą w jakieś straszne łoże,
Co na Madeja rozbójnika czeka. —
Patrz, dusza męki wytrzymać nie może
I posłuszeństwo w pokorze przyrzeka. —
O dzięki Bogu, piekło się zapadło,
I nagle znikło to straszne widziadło.“

Gospodarz upadł do nóg zakonnika
I rzekł: „Madeja widzisz rozbójnika!
Oddal odemnie piekielne katusze!
O mężu święty nie odmów opieki!
Pomóż biednemu zbawić swoją duszę;
Tu mnie piecz, tu siecz, lecz przepuść na wieki.“

Ksiądz go spowiada, a twarzą łaskawą,
Jeszcze ośmiela, aby wyznał zbrodnie;
„Książe“, rzekł zbójca „tą samą buławą
Ojca i matkę zabiłem wyrodnie;
A innych mordów pamięć nie opowie,
Może tak wiele, jak włosów na głowie“ —
„Nie mogę“ rzekł ksiądz „dać ci rozgrzeszenia,
Jednak się nie chciéj pogrążyć w rozpaczy:

Żałuj, pokutuj, a łzy i cierpienia
Bóg dobry przyjmie i zbrodnie przebaczy.“

Powstał zakonnik, a jakby z natchnienia
Wyszedł z pieczary i wziął z jego dłoni
Straszną i krwawą buławę z jabłoni,
I wbił ją w ziemię zdala od strumienia.
„Jeśli“ rzekł kapłan „chcesz umrzeć w pokoju,
Noś wciąż dwie sakwy, a pełne kamienia,
I klęcząc pełzaj aż do tego zdroju,
Ustami czerpaj wodę ze strumienia;
I dniem i nocą buławę podlewaj;
Jeszcze roś łzami, westchnieniem zagrzewaj,
W poście, w modlitwie, wśród łez i cierpienia
Ciągle boskiego błagaj przebaczenia:
Gdy Bóg twych jęków i prośby wysłucha,
Wtedy odżyje ta buława sucha
I w piękną jabłoń chojnie się rozwinie.“

Tak im noc przeszła; o świtu godzinie
Zbójca na drogę zawiódł kapucyna
A potem z wiarą pokutę zaczyna.
Przeszło lat wiele, z latami przechodzi
Wszystko na świecie, wszystko się przemienia:
W starców zgrzybiałych zmienieli się młodzi,
Miasto ich kwitną nowe pokolenia.

W jesiennéj porze pomału się wloką
Dwaj kapucyni przez puszczę głoboką.
W tem zapach jabłek rozszedł się w téj stronie,
Lecz zapach dziwny, jakby rajskie wonie.
„Bracie“ rzekł starzec „udaj się do lasu
I narwi jabłek, co tak pachną mile;
Ja tu zaczekam i skorzystam z czasu,
Bo utrudzony odpocznę przez chwilę.“ —
Poszedł braciszek i niedługo bawił,
Ale z próżnemi rękami się stawił.
„Ojcze“ rzekł „w całym życiu jak przypomnę,
Nigdym podobnéj nie widział jabłoni,
Bo jabłka rodzi nadzwyczaj ogromne,
Jak krew czerwone, lecz ich starzec broni;
Włos go okrywa, głowa ubielona,
Klęczy i jabłoń objął w swe ramiona.
Chciałem rwać jabłka, lecz pustelnik rzecze:
„Nie ty sadziłeś, nie ty zerwiesz człecze.“
A kapłan mową braciszka się zdumiał,
Coś sobie wspomniał i wszystko zrozumiał.
Zaraz tam poszedł z bratem i obaczył,
Że Bóg pokutę zbójcy przyjąć raczył.
„Trzęś“ rzekł do zbójcy: potrząsł, lecz nie spada
Najmniejsze jabłko; wtedy go spowiada,
A po spowiedzi znowu trzęść mu każe,
I wszystkie jabłka wnet się posypały,

Lecz dwa największe na wierzchu zostały.
„Widzisz“ rzekł kapłan „że Bóg dobry maże
Wszystkie zabójstwa, prócz ojca i matki:
Lecz nie rozpaczaj, Bóg kocha swe dziatki,
Jeszcze łez więcéj, jeszcze westchnień trzeba;
Błagajmy razem miłosierne nieba.“ —

Łzom i modlitwie Pan Bóg zawsze sprzyja,
Para gołąbków siada na jabłoni,
Wesoło grucha, wesoło się goni,
Trzepiąc skrzydełkiem te dwa jabłka zbija.
„Jak dobry zbawca modłów prędko słucha!“
Mówił pustelnik, rosząc łzami lice,
„Bóg mi przebaczył i moi rodzice:
Tak niebu miła w ludziach święta skrucha.“
A w tém zamilknie, na pierś głowę skłoni,
Oddaje z rajskim śmiechem Bogu ducha.
Para gołąbków zrywa się z jabłoni
I lecąc w niebo taką pieśnią grucha:
— „Po łzach i znoju, chodź do pokoju
Kochany synku nasz:
Grzech cię nie plami, omytą łzami
Sukienkę cnoty masz.
Jęki i łezki, to kwiat niebieski,
Jak rozkoszna jego woń!
Błogosławiona, miłość wcielona

Tem kwieciem zdobi ci skroń.
Bóg się weseli, święci, Anieli,
I cały cieszy się raj,
Żeś ty zgubiony, dziś powrócony
W ojczysty niebieski kraj.
Ach temu błogo, kto skruchy drogą
Zechce duszę swoją wieść,
A Tobie, Panie, za zmiłowanie
Chwała i sława i cześć."

Zachwycenie.

I.

Matulu moja powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?
— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną, jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,

Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową przenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki,
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali. —
— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co téż tam robi Pan Jezus w niebie? . . . .
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza Najświętsza Panna? . . . .
O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe,
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiéj nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnéj przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owéj roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
. . . .

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co téż tam robią święci Anieli?
— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się pleni.
— Jest téż jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?
— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje. —
— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?
— O! jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj,
Na złotych skrzypkach grają anieli. —
— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?
— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości bożéj . . . . .
— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewcze, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele

Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy bożéj męce?
— O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi. —
— Powiedzcie teraz mateńku droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?
— Potem widziałam strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostół kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi:
Co tylko, człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —
— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,

Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce śrebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —
— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc, o moje dziecię,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty apostół boży
Złocistym kluczem niebo otworzy. —
— Toście wy dużo matko widzieli,
I pewniebyście tam wrócić chcieli;
Więc jak pójdziecie mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. —
— O! ty zostaniesz małe pachole,
Bo któżby gąski wypędzał w pole,
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił krzaki?

Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę. —
— Ej co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiéj jak téż to było,
Jak się błękitne niebo skończyło?

II.

— Z nieba do czyśca spadzistą drogą
Schodziłam zwolna niepewną nogą;
Tam koło płota stawa tęsknota,
Każda duszyczka istna sierota;
Oczy przymknięte, usta się zwarły,
Te co już bardzo dawno pomarły,
Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz jakby uśmiech był grzechem
Ciemnieją lica, chylą się głowy,
I rozchodzą się biedne niemowy,
Do koła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zaprzeć długo szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza.
Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drzą biedne duchy. —

— Te to duszyczki proszę ja matki,
Nie mają swojéj na ziemi chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słocie leży? . . . .
— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie jak nasza,
I takie wody i takie pola,
Ale im do nich wrócić niewola. —
— Cóż one robią, czem sią tam bawią?
— Chodzą po grudzie i nogi krwawią,
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurnem polu,
Jawi się anióŁ cichego bólu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z któréj kroplami święta krew zlata.
A na ten widok okrutnéj męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wylękłe stoją;
A potem jakby wróble spłoszone,
Lecą powietrzem w pole zamglone. —
— To dla nich nigdy słońce nie świeci?
— Czasem maleńki promyczek zleci;
Gdy ludzie mówią Zdrowaś Marya,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,

I smutne światło na ziemię sieje,
W którem gromada duchów się grzeje. —
— Teraz co więcéj? . . . .
O dzieci lube!
Szłam coraz daléj przezemgły grube,
Gdzie bardziéj drzące i więcéj smutne
Siedzą w swych duchnach dusze pokutne.
Na jednéj skale stroméj, ponuréj,
Nad którą ciężkie płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiéj,
Patrząc na puste żywota smugi;
Po owych smugach snuły się grzechy,
Wróżnych postaciach marne uciechy;
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty
Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty. —
— A czy to one nie mają dłoni?
Czemuż z nich żadna ócz nie zasłoni?
— Nie moje dziecko — ręce duchowe
Są tak przejrzyste jak kryształowe,
Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłoni, to wszystko widzi. —
— Na brzegu czyśca nieszczęsne duchy
Wydały za mną jęk tęskny, głuchy,
Spojrzałam na nie, stały do koła,
Schyliwszy na pierś pochmurne czoła;
Powiedzcie, rzekłam, co wam potrzeba?

„Miłości ludzi i łaski nieba;
„Powiedz słóweczko w naszéj dolinie,
„Tàm wiesz gdzie woda przeczyście płynie...“
I nie skończyły. — Smutne wspomnienie,
Podniosło piersi w jedno westchnienie,
I napełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami. —
— Ach Boże! Boże! — powiedzcież daléj,
Czyście i dzieci w czyścu spotkali?
Dzieci to prosto do nieba wchodzą,
Złego nie robią, ludziom nie szkodzą....

....

Potem szłam daléj mówiąc koronki,
Przez jakieś zgniłe, cuchnące łąki,
Po białych liliach, co ślicznie rosły,
Smutne łodygi ku niebu niosły,
I jużby pewnie jak chmurki srebrne
Splatały świetne wieńce podniebne,
Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
Nie wsączył jadu złości i pychy. —

III.

— Żebyście téż powiedzieć chcieli,
Coście najpierwiéj w piekle widzieli?

— Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę:
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serca kłuli. —
Ach jakie zbrodnie, skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Ojciec na syna, a syn na ojca,
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.
Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada,
I niby ręce wznosi w pokorze,
Lecz z rąk jak ognie świecą się noże.
Chciałem się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty,
Wyciągam rękę chciwa zdobyczy,
A kwiat łeb w górę wznosi i syczy.
Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasłoną,
Świeci zła gwiazda miotłą czerwoną. —
— Jak też wygląda szatan przeklęty?
— Czasem jak szatan, czasem jak święty:
Raz obrzydliwy lot nietoperza,
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza;
To znowu jakby okryty zorzą,
Udaje mądrość i piękność bożą. —

— To w piekle żadnéj nie ma radości,
Ani spoczynku, ani jasności?
— Widziałam jasność, tak się świeciło,
Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wściekłą:
Jednego razu śmiało się piekło,
Gdy pani panu truciznę wlała,
W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała lilii, rutki i maku,
Żeby nie było na grobie znaku.
Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
Kiedy śpiewanie w kościółku zgłuchło.
Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzasła,
Gdy miłość ziemi w sercach zagasła.
Tam w jednéj stronie jest i spoczynek
Na łące zgniłych niezapominek.
Pod czarnem niebem, Bożeż mój, Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na niém śpi zdrajca z czerwoną brodą,
Cały oblany śmiertelną wodą,
Wąż opasuje spodlone czoło,
Zwinąwszy ogon w złociste koło,
Nikczemną duszę kłębami ściska;
Z oczu łzy kapią jak ze źródliska,
Lecz nadaremnie — wszystkie boleści
Ile ich otchłan piekielna mieści,

Żadne łez krwawych mroże nie spłaci,
Godziny męczarń skrzywdzonych braci.
Z pod łoża jakby drzewa wyrosły,
Płomienie złote języki wzniosły,
Targane wichrów szalonych falą,
Jak liście iskry sypią i palą.
Pod temi drzewy, pod płomiennemi,
Przy łożu zbójcy siedzą na ziemi,
I dużo istót, co niegdyś skrycie
Zatruły młode, niewinne życie.
Tam ja widziałam twarze fałszywe,
Oczy śmiejące, uśmiechy krzywe,
Spiekłe języki po pas wiszące,
Wężowem, czarnem żądłem drgające,
Zdradzieckich palców węzeł skurczony
Błyszczał się zdala krwawemi szpony.
Któż wszystkie nędze piekła wypowie,
Owe łzy sierót, przekleństwa wdowie,
I klątwy matek, — o niech Bóg broni!
Widziałam w jednéj strasznéj ustroni,
Jak pokurczone zbrodniarzy ciała
Jedna sieroca łza pobijała;
A klątwy matek jak trąby brzmienie
Wstrząsały całe piekieł przestrzenie.
Na brzegu piekła jeszczem widziała
Przy ciemnych grobach leżące ciała,

Które z wnętrzności ziemia wyrzuca.
Ten widok srodze serce zasmuca,
Na myśl, jak człowiek siebie zohydzi,
Że aż nim martwa ziemia się brzydzi.
— Matulu moja, czy owe duchy
Nie mają żadnéj w świecie otuchy?
— O mają one jednę nadzieję,
Że się rąk ludzkich praca rozwieje,
I że na ziemi, jak próżna mara,
Zniknie nadzieja, miłość i wiara.
Przeklęte piekło na wszystko w świecie
Wściekły jad rzuca, obelgi miecie;
Brzydząc się cichą pracą człowieka,
Tłuszcza piekielna wciąż jeno szczeka.
A ci, co w piekle latają w górze,
Sieją wichrami, by zbierać burze,
Wszystko inaczéj, wszystko przewrotne,
Przez te otchłanie trzà iść samotnie,
Bo każde podłe, zdradliwe ramie,
Bo każdy uśmiech serce ci złamie. —
Póki mi życia, póki tchu starczy,
Kark, którem piekło bezdenne warczy,
Będę słyszała, słowa bezczelne,
I te postacie złe nieśmiertelne,
Co leżą nago na ziemi tłumnie,
W pamięci będą krzywić się ku mnie. —

. . . .

Tak przeszłam drogę smutno, boleśnie,
Na raz przeglądam — czy jeszcze nie śnię?
Wkoło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
Inni oblani rzewną łez rosą;
Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
A ty kochanku modlisz się szczerze,
I patrzysz we mnie z taką miłością,
Że zapukało serce radością,
I jakieś ciepło słodkie, wiosenne
I jakieś światło ciche, promienne,
Wstąpiło we mnie jak biała zorza,
Jak czysta miłość, jak łaska boża.
Spojrzałam w okno: to samo sioło,
Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
Woda się świeci jak srebrna łuska,
Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
I znowu jestem na swojéj ziemi,
W wiosce pomiędzy ludźmi dobremi.
Wiem ja dziecino moją godzinę,
I wiem, że z łaski bożéj nie zginę.
Więc mię nie płaczcie w skonania chwili,
Ani żałujcie, o moi mili:
Jeno mnie płachtą okryjcie białą,
Potem do trumny połóżcie ciało,

A potem bracia, krewni, rodzina,
Niech zaśpiewają *Salve Regina.*

Dziecię i Matka.

Matka.

Lilijko moja, lilijko biała,
Czemuś tak prędko dla mnie zwiędniała?
I twojéj barwy świeżość podbladła?
I twoja piękność dla mnie opadła?
Ja ciebie łzami memi zrosiła,
Nad tobą we dnie, w nocy czuwałą,
Jam ciebie sercem, myślą kochała.
Lilijko moja, o rajski kwiecie,
Tyś niebem mojem była na świecie!
O czemuś, czemuś mnie opuściła?
Czyś się w ogródku moim stęskniła?
Smutkiem z orane dziś moje czoło,
Oczy łzą płaczą, patrząc w około,
Szukając ciebie! ach! nadaremnie?

Lilijka.

Dobrze mi było mamo u ciebie,
Ale mi lepiéj dziś z Bogiem w niebie;

Koło lilijki cierń się nie jeży,
Niebo z gwiazdkami u stóp mych leży,
Tu mnie nie straszą zimowe lody,
Tu wieczna wiosna, szczęście, swobody,
Tu mnie już złości świata nie zbrudzą,
Tu mnie już kłamstwa świata nie złudzą.
W wiecznéj światłości, w duszy pogodzie,
Kwitnie lilijka w boskim ogrodzie;
Tu aniołowie pieszczą się ze mną,
Bogarodzica czuwa nademną;
Tu nie masz nocy, tu nie masz mroku,
Ni rany w sercu, ani łzy w oku,
Tu na cię patrzy, patrzy z daleka,
Twoja lilijka i na cię czeka;
I ciągle kwitnie i nie okwita,
Jak cię żegnała, tak cię powita!
Dobrze mi było mamo u ciebie,
Lepiéj ci będzie ze mną być w niebie!

X. Karól Antoniewicz.

Giermek.

Smutno w polskiéj było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;

Wszystko siły przygniotł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.
W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojowniki
Gdy w tém siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem
Trącił w lutnię i tak śpiewał:
Mile gadka dawnéj treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasów to powieści
Stara dzielność się ukrywa.
Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.
Lasem polskich dzid narody
Zasłaniane od podboju,
Wynucały pieśń swobody
Pieśń miłości, pieśń pokoju.
Naszym hymnem był szczęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łan Podola,
Ciągną wojska, tabór, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy;
Z jednéj strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiéj wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.
Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy.
Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.
Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru — rzenia koni,
Pyta, zważa — ognie liczy,
I już w myśli łamie, goni.
O nie ciesz się wodzu stary,
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary;
Słuchaj! patrzaj! co się dzieje!
Hura, hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci,

Giermek za broń, wódz do korda,
Na koń! woła, na koń dzieci!
Spieszą, biegną do swych szyków,
Wpośród nocnych pędzą cieni;
Gdy wtém z grzmotem nowych krzyków,
Zewsząd czernią otoczeni.
Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie;
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.
I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali
Już nie wyrwie z rąk Tatara.
Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy motłoch dziki,
Bucha gniewem Han zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.
Wre i zemstą ryczy srogą,
Każe jedném skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.
Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojéj łzą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy;
Kto w pół dzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli;
Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!
I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha.. łzę wylewa...
I znów nagle trąca w lutnię
I tak daléj gra i śpiewa:
Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swéj duma ziemi.
I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy w tém nagle w swéj ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.
Patrzy, duma, drzy i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie;
I podnosi ręką śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,

Tnie — odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.
Wolnyś! rzecze, straż zaspana,
Uchódź, ocal twą krainę;
Spiesz i pobij wojsko Hana,
Ja z radością tutaj zginę.
Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiéj zdał obronie,
Scisnął, uszedł i ocalał.
I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wkrótce Han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.
Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.
I odpycha wszystkie straże,
Cnota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, darzyć każe,
I do lachów go odsyła. —
W świetném dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.
I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.
Gdy w tém w pośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą;
Oto herb twój! król zawoła,
Wysłużony twoją cnotą.
I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz pański zmierza,
I sam klęka ź nim na przedzie.
O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosi,
I o więcéj takich mężów
Dla ojczyzny swojéj prosi.
Tu dźwięk lutni, mdlał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swojém wzbudził pieniem.

Modlitwa do Boga.

Boże w Twoje imie święte,
Zaczynamy prace dzienne,
Bo w ten sposób rozpoczęte
Plony dadzą nam zbawienne.

Czy zabawa, czy nauka,
Niech zaczyna się od ciebie,
A kto Twego sparcia szuka,
W każdéj dozna go potrzebie.

Gdy się modlą dobre dziatki,
Ty ich prośbom czynisz zadość,
I dla ojca i dla matki
Zesłać raczysz zdrowie, radość.

Wszakże Chrystus, co świat zbawił
Przez Najświętszą Krwi ofiarę,
Gdy prawdziwą głosił wiarę,
Dobrym dziatkom błogosławił.

Pobłogosław i nam Panie,
Dozwól w cnotach się ustalić,
Byśmy mogli w każdym stanie
Bliźnich wspierać, Ciebie chwalić.

Nakładem Wydawcy.

Nakładem Wydawcy.